

Klątwa, cz.3 — Figiel

Od autora: Króciutkie przypomnienie: Z odziedziczonego domu, w którym Marek mieszka z Lisą, uciekają w popłochu szczury. Krótco potem u Lisy pojawiają się zaburzenia neurologiczne, a w końcu zapada w śpiączkę. Marek czuwa przy łóżku żony. Towarzyszy mu wrona, siedząca cały czas na zewnętrznym parapecie szpitalnego okna. Gdy Marek zirytowany brakiem postępów w leczeniu żony postanawia ją zabrać do domu, ptak pojawia się w oknie pokoju Lisy, budząc przestraszony Marka, która zgodziła się zamieszkać z synem, by mu pomóc w opiece nad chorą. Zgodnie z życzeniem testatorki, w domu mieszka jej kot, Marcel. Pewnego dnia znika, więc na prośbę matki, Marek szuka go po terenie. W dębowej alei spostrzega dziwnie zachowującą się postać, tę samą, którą widział, gdy ostatnim razem z Lisą odwiedził Marię. Udaje mu się podejść do tej postaci, a wtedy okazuje się, że ma ona jego rysy twarzy oraz ubranie, ale jest ślepa. Przestrzega Marka przed ćowahani i Melalo, wspomina o Lisie, ale nic nie wyjaśnia. Marek jest zdezorientowany i przerażony, jednak uważa, że to wina stresu, w jakim żyje. Na jego rękę pojawia się niewielki bąbel, z którego parę godzin później wyrasta puchate piórko, chowające się pod skórą przy próbie dotknięcia.

Zrobiłem to jeszcze trzykrotnie.

Za każdym razem, ilekroć zbliżyłem palec, piórko wycofywało się do swojego schronienia niczym pasożyt do wnętrza żywiciela, a mój mózg zaczął niebezpiecznie balansować na granicy normalności i rasowego obłądzenia. Musiałem uznać – o ile chciałem zachować jako takie zdrowie psychiczne – że dziwny wytwór mojego ciała był tym samym, co gość z ogrodu, czyli zwykłym omamem chorego umysłu. Ślepe sobowtóry nie przychodzą przecież do ludzi na pogawędki, a człowiekowi nie wyrastają, ot tak sobie, pióra. W ogóle nie wyrastają. Uznałem więc, że jednak mam problem natury psychiatrycznej, z którym powinienem rozprawić się możliwie najszybciej, oczywiście, z pomocą dobrego lekarza. Postanowiłem zgłosić się do niego już następnego dnia.

Wierciłem się na łóżku, próbując zasnąć, ale zdarzenia minionego dnia, układające się w kalejdoskopowe obrazy skutecznie odganiały sen.

Wstałem, uruchomiłem laptopa, a potem wyszukałem jakiś film akcji, jednak w żaden sposób nie mogłem skupić się na fabule. Rozbrzmiewająca odgłosami nieustannej strzelaniny produkcja klasy B irytowała mnie i miałem chęć walnąć pięścią w ekran. To była dziwna złość: narastała najpierw niewielką, zaledwie drażniącą falą, by rosnąć, wciąż rosnąć, niczym tsunami. Zamknąłem kartę. Patrząc tępo w okno wyszukiwarki, obserwowałem, jak niespodziewana agresja powoli znika, a potem, wiedziony jakimś nagłym impulsem, wpisałem w google frazę: *człowiekowi wyrastają pióra*.

Komputer jasno dał odpowiedź, że to się nie zdarza, choć owszem, istnieje tajemnicza choroba, podczas której z ludzkiej skóry wyłaniają się kolorowe nitki. Nazywa się syndromem Morgellonów, a jego przyczyny są przedmiotem nieustających sporów w środowisku medycznym.

Po chwili namysłu wklepałem w pasek zadań *Pani o Świetlistych Włosach*, ale komputer skierował mnie na stronę muzyczną, do znanego utworu zespołu Omega, o podobnie brzmiącym tytule. Wysłuchałem piosenki w zamyśleniu, próbując sobie przypomnieć, co jeszcze mówił ten ogrodowy krasnal.

Z jego bełkotu zapamiętałem jedno słowo: *melalo*, ale i tu komputer zaproponował mi jedynie wiedzę na temat rodzaju melas.

Natomiast w żaden sposób nie mogłem wyłuskać z pamięci miękko brzmiącej nazwy czegoś, czego powinienem się bać, więc zrezygnowany zamknąłem komputer.

Słowo, jak diabeł z pudełka, wyskoczyło dopiero z porannego półczuwania, gdzieś na granicy jawy i snu, więc poderwałem się łóżka. Kilka klepnięć w klawiaturę i na jasnym ekranie ukazał się jedyny rekord wyszukiwania. Wytrzeszczyłem oczy, gdy go rozwinąłem:

Wśród innych ugrupowań Romów znachorki czy zielarki cygańskie znane były jako gule romnia (słodkie kobiety) lub ćowali (także ćowahani - czarownica).

Cholera! Nigdy nie wierzyłem i nie będę wierzyć w gusła, zabobony, czarną lub białą magię, cygańską, czy też nie, voo-doo, byty astralne ani temu podobne brednie. To tylko zbiory legend, zwykłe bajanie, wymykające się racjonalnemu oglądowi! A te widma? Widać choroba Lisy, nadszarpnęła moją konstrukcję psychiczną bardziej, niż mógłbym się spodziewać.

Ale to się niebawem skończy. Podobnie jak namolne, szepczące głosy, które pojawiły mi się w głowie dwa lata przed ślubem. Wtedy psychiatrzy podejrzewali pierwsze symptomy schizofrenii, jednak skomplikowane związki chemiczne w postaci dobroczynnych tabletek rozprawiły się z nimi szybko, a epizody więcej się nie powtórzyły. Ukryłem, co prawda, przed wszystkimi fakt, że korzystałem z pomocy psychiatrów, zaś trzytygodniowy pobyt w szpitalu sprytnie zamaskowałem urlopem wypoczynkowym nad morzem, ale to chyba nic zdrożnego. I tak nikt nie wnikał, a ja siedziałem cicho.

Teraz musiałem tylko pogodzić się z faktem, że znów potrzebny mi psychiatra, a im szybciej go odwiedzę, tym lepiej dla mnie. I dla Lisy... Dla wszystkich.

Przetarłem rękoma twarz i powlokłem się do łazienki, a potem do kuchni.

Pomimo wczesnej pory zastałem tam mamę, przygotowującą kawę. Siedziała przy stole, starannie odmierzając porcję cukru oraz śmietanki do szerokiej, granatowej filiżanki.

– Cześć synku. Jak noc?

– Kiepsko. Źle spałem – odparłem szczerze, a potem znienacka wypaliłem: – Słyszałaś kiedyś o *ćowahani*?

Ręka, unosząca filiżankę zadrżała, a brunatne strużki napoju spłynęły po błyszczącej powierzchni naczynia, kapiąc na stół niewielkimi plamkami. Na twarzy mamy widziałem konsternację, pomieszaną z płochliwym spojrzeniem ciekawskiego współlokatora, przyłapanego na grzebaniu w cudzych rzeczach.

– Skąd wiesz o *ćowahani*? – zapytała, wycierając stół papierowym ręcznikiem, który jej podsunąłem.

– A ty? – wymigałem się od odpowiedzi.

– Od Marii.

– I...

– Nie mogę powiedzieć. Obiecałam...

– Mamo, Maria nie żyje!

– Tak... Oczywiście. – Zamilkła i zamyśliła się. – Mam nadzieję, że mi wybaczy... – powiedziała po chwili, skubiąc nerwowo zgnieciony ręcznik. – Pamiętasz, Marku, moje migreny?

Pamiętałem. Gdy nadchodził atak, robiła się niespokojna, a potem szła do zasnutego półmrokiem pokoju, by spędzić tam następnych kilka godzin w absolutnej ciszy, bo każdy najlżejszy szelest wzmagał jej cierpienie. Podobnie jak światło.

– Kiedyś – oderwała wzrok od ręcznika i przeniosła go na mnie – po jednym z wyjątkowo ciężkich ataków pojechałam odwiedzić Marię. Od razu zobaczyła, że kiepsko wyglądam... Dotąd mnie męczyła, aż przyznałam się, że miewam te potworne bóle głowy, na które nie skutkują żadne lekarstwa. Wtedy Maria powiedziała, że mogę się ich pozbyć, ale muszę z nią pojechać w pewne miejsce. Myślałam, że będzie namawiała mnie na wizytę u jakiegoś lekarza, więc upierałam się, że to bez sensu, bo byłam u wielu i żaden nie umiał mi pomóc. Ale nie chodziło o lekarza... Wtedy po raz pierwszy usłyszałam o *ćowahani*. To są... czarownice.

To już wiedziałem, więc tylko kiwnąłem głową.

– Maryla wyznała mi, że gdy była wśród Cyganów, poznała kilka *ćowahani*. To dziwne kobiety... Znają nie tylko tajniki chiromancji, ale też właściwości lecznicze ziół, sposoby sporządzania z nich wywarów, a także rytuały, inkantacje i... sposoby zamawiania chorób. Słowem, znają magię. Maria zabrała mnie na spotkanie z jedną z nich, pod warunkiem, że nigdy nie zdradzę, gdzie byliśmy. Dlatego nie powiem ci nazwy miejscowości, bo przysięgam...

– W porządku. – Znów kiwnąłem głową.

– To była mała wieś, raptem kilka, prawie rozpadających się chałup, ale najdziwniejsze było to, że mieszkali tam tylko starzy ludzie. Nie było ani jednej kobiety czy mężczyzny, którzy nie mieliby zaszuszonych i pooranych zmarszczkami twarzy, jakby starcy celowo zostali zebrani w jednym miejscu. Chyba wszyscy tam mieli po sto lat albo i więcej. Maria zaprowadziła mnie do jednej z chat. Pamiętam bielone ściany, przy których rosły kolorowe malwy i płot z rozsypujących się desek. Żyła tam kobieta, która wyglądała na jeszcze starszą, niż inne. Miała białe jak śnieg włosy, i chude palce naznaczone brązowymi plamami. Do tego nosiła jakieś stare szmaty... Uwierz mi, wyglądała upiornie. Początkowo nie chciała w ogóle z nami rozmawiać – odmownie potrząsała głową i machała ręką, jakby odganiała natrętną muchę, ale Maria tak długo ją przekonywała, że w końcu pozwoliła nam wejść do chaty. To było najuboższe miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam! Stało tam stare łóżko nakryte jakąś dziurawą narzutą, stół, dwa taborety i gliniany, pobielony piec. Na ścianach wisiały pęki ziół a w każdym miejscu, w którym można było coś postawić, roilo się od słoików i słoiczków z płynami lub proszkami. Kobieta nie odezwała się do mnie ani słowem. Na migi kazała mi usiąść na drewnianym taborecie, a potem...

– Odprawiła czary? – powiedziałem domyślnie.

– Nie. – Uśmiechnęła się matka. – Umyła mi głowę.

– Że co? – Idiotyczne pytanie samo wyskoczyło mi z ust, zanim zdołałem je ubrać w bardziej sensowną formę.

– Tak jak mówię: zagotowała na piecu wodę w ogromnym garnku, natarła głowę octem, a potem, mamrocząc coś pod nosem, splukała włosy wodą z garnka. I tyle. Od tego czasu nie mam migren. Możesz się śmiać, ale ta kobieta mnie wyleczyła.

– Naprawdę wierzysz, że cygańska magia działa? – Patrzyłem na matkę z niedowierzaniem.

– Oczywiście. I jest bardzo skuteczna... Jestem tego żywym dowodem.

W jednej sekundzie zapomniałem o własnym zdrowiu psychicznym, bo w głowie pojawiła mi się szaleńcza, choć może tylko z pozoru, myśl. Mogłem nie wierzyć w zabobony, ale...

– Sądzisz, że mogłaby pomóc Lisie?

– Trudno powiedzieć... – Mama przyjęła moje pytanie najzupełniej naturalnie, bez cienia sceptycyzmu – Maria mówiła, że są choroby cygańskie i nie-cygańskie, nie wiem dokładnie, o co chodzi. W każdym razie, jeśli choroba ma pochodzenie nie-cygańskie, magia nie zadziała. – Upiła łyk kawy i spojrzała mi prosto w oczy. – Gdy Lisa zasnęła, od razu pomyślałam o tamtej starej kobiecie... O ile jeszcze żyje, a to miejsce nadal istnieje...

– A jeśli bym tam pojechał?

– Nie możesz tego zrobić! – powiedziała z przestraszeniem. – Wtedy kara za złamanie przysięgi spadnie na mnie i stanie się coś bardzo złego. Maria wielokrotnie mnie przestrzegała. Ja... Boję się... Już ta wrona działa na mnie przygnębiająco. To zły znak. Ptaki, jak zawsze powtarzała Maria, nie pokazują się ot, tak sobie, ich obecność przy nas zawsze ma jakieś znaczenie... Te czarne niosą...

– Tak?

– Śmierć.

Słowo zawisło między nami niczym czarny wykrzyknik.

– Czy jest jeszcze coś, o czym mi nie mówisz? – zapytałem po chwili milczenia.

– Nie... Wiem tylko tyle, co ci powtórzyłam. Maria... bardzo niechętnie wracała myślą do cygańskiej przeszłości. – Mama wstała od stołu i włożyła filiżankę do zlewu. – Idę do Lisy, przyjdiesz do nas?

– Za chwilę – odpowiedziałem.

Gdy wyszła, podciągnąłem rękaw bluzy. Piórko, zmierzwiłone ruchem materiału, zbiło się w rosochatą kulkę, a gdy musnąłem je palcem, uciekło jakby spłoszone i zastygło pod skórą łatwo wyczuwalnym wyrzuceniem. Nie wiedziałem, czym jest ani dlaczego, ani czy jest rzeczywiste, ale nie to było teraz istotne – jeśli w cygańskiej magii tkwi choćby najmniejsze ziarno nadziei na ozdrowienie Lisy, zamierzałem dowiedzieć się o niej jak najwięcej. Powoli układałem plan, tego, co powinienem zrobić.

Nie jest łatwo znaleźć specja od magii cygańskiej, ale miałem farta. Poświęciłem zaledwie parę godzin, by wyszukać eksperta, a potem uzyskać prywatny numer telefonu profesora Adama Lisieckiego, międzynarodowego autorytetu w sprawach Romów. Facet miał na koncie dziesiątki artykułów i kilka książek o ich tematyce, a co najważniejsze, zgodził się na rozmowę, zapraszając mnie do swojego domu. Pojechałem

tam jeszcze tego samego popołudnia.

Profesor mieszkał w starej części miasta, w kamienicy o drewnianych, skrzypiących schodach i błyszczącej poręczy, wyslizganej tysiącami dotknięć. Gdy, sapiąc, wdrapałem się na ostatnie piętro, a potem nacisnąłem guzik dzwonka, drzwi otworzyły się niemal natychmiast, jakby facet wiedział, że właśnie stoję pod drzwiami. Musiałem mieć nieco głupią minę, bo od razu wyjaśnił:

– Widziałem przez okno, jak pan wchodził do bramy. Tu rzadko przychodzą obcy. – Uśmiechnął się przyjaźnie, otwierając szerzej drzwi.

Był zdecydowanie młodszy, niż się spodziewałem. Miał chyba niewiele ponad czterdziestkę i nic z zachowania czy wyglądu autorytetu; bardziej przypominał chłopaka, który właśnie wybiera się z kumplami na paint-ball. Z lekkim zdziwieniem otaksowałem jego bojówki o ochronnym wzorze, czarną podkoszulkę oraz długie, związane w kucyk, włosy.

Zauważył. Uśmiechnął się.

– Z racji moich zainteresowań dużo podróżuję, więc cenię sobie swobodny ubiór. Sztywne garnitury zachowuję na konferencje oraz uniwersyteckie aule. Zapraszam...

Poszedłem za nim do przestronnego salonu, wyglądającego jak biblioteka. Regały z książkami zajmowały wszystkie ściany, a kilka stosów z wolumenami piętrzyło się pod oknem i w rogu pomieszczenia. Profesor energicznym ruchem odsunął z części szerokiej ławy zalegające tam kartki oraz czasopisma i dosunął do niej fotel.

– Proszę spocząć. Kawy? Jakiś napój?

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem, sadowiąc się w fotelu, podczas gdy on zajął miejsce na kanapie.

– W czym mogę pomóc?

– Moja żona zapadła w śpiączkę. Chcę dowiedzieć się, czy magia cygańska może przywrócić jej zdrowie.

– Nie zamierzałem owijać w bawełnę celu wizyty.

– Rozumiem. – Sięgnął do paczki papierosów, leżącej na ławie, wyjął jednego i przypalił, wydmuchując kłębiasty dym. – Sądzę też – powiedział powoli, ważąc słowa – że pomysł odwołania się do cygańskich wierzeń nie pojawił się ot tak, sobie, prawda? Musiało zdarzyć się coś, co pana do niej zachęciło.

– Owszem – przyznałem niechętnie. – Moją matkę wyleczyła Cyganka. I... Są pewne zdarzenia...

– O tym właśnie mówię – wpadł mi w słowo. – Chcę wiedzieć o wszystkim, co się panu przytrafiło, choćby brzmiało to zupełnie nieprawdopodobnie. Tylko wtedy będę mógł powiedzieć, z czym mamy do czynienia i... czy w ogóle chodzi tu o magię.

Skinąłem głową ze zrozumieniem. Facet był ostrożny. Miał świadomość, że świat roi się od wariatów. Cóż, pewnie byłem jednym z nich. Mimo to opowiedziałem o wszystkim, począwszy od popołudnia u Marii, do dzisiejszej rozmowy z matką.

Wysłuchał mnie z uwagą.

– Przepraszam na chwilę – powiedział w zamyśleniu, gdy skończyłem, a potem wyszedł z pokoju sprężystym krokiem.

Wrócił po kilku minutach, trzymając w ręku tacę, na której stała wypełniona w trzech czwartych butelka brandy i szklanki z grubego szkła.

– Może nam się przydać. – oświadczył, stawiając tacę na ławie. Otworzył butelkę i napełnił szklanki brązowozłocistym płynem, równo na wysokość dwóch palców. – Proszę. – Podał mi szklankę.

Podszedł do jednego z regałów, chwilę przebiegał wzrokiem po grzbietach książek, a potem zdecydowanym ruchem sięgnął po jedną z nich – grubą, oprawioną w brązową skórę. Przekartkował ją szybkim ruchem, by w końcu, otwartą na jakimś obrazku, podsunąć mi pod nos.

– Co pan na to? – zapytał.

Przyjrzałem się rycinie, zajmującej całą stronę i przez chwilę wrażenie, że serce mi sztywnieje w bezruchu. Postać w każdym szczególe była identyczna z tą, którą widziałem we śnie. Te same zielone pióra, te same pałające czerwienią oczy. Drobne litery po rysunku głośno, że rysunek przedstawia demona *Melalo*, pierworodnego *Any*.

– Tak, to on – potwierdziłem.

Profesor nieznacznie skinął głową.

– Rycina, którą panu pokazałem – powiedział, gdy wrócił na sofę i upił łyk brandy – jest jedynym wizerunkiem *Melalo*, jakim współcześnie dysponujemy.

Bezmyślnie powtórzyłem jego ruch i podniosłem szklankę do ust. Dobroczynne działanie alkoholu, które przydało mi się nie dalej jak wczoraj, zadziało i tym razem. Byłem gotów wysłuchać, co facet miał mi do powiedzenia.

– Ten obrazek – ciągnął profesor – został skreślony w osiemnastym wieku, przez prawosławnego mnicha, który miał nieszczęście narazić się pewnej Cygance, przeganiając ją spod cerkwi, gdzie nagabywała wiernych. Cyganka podobno zmierzyła go złym spojrzeniem i wymamrotała coś pod nosem, ale więcej się nie pokazała. Za to *Melalo* odwiedził mnicha dwa dni później. Pokazał mu się we śnie, a duchowny, wstrząśnięty wizją, w której słusznie rozpoznał demona, jeszcze tej samej nocy nakreślił jego portret. Zresztą, nie tylko go narysował, ale również drobiazgowo opisał. Gdy demon nawiedził go po raz drugi, podobno zobaczył, jak rozpościera skrzydła, a jego pióra krzyczą ludzkimi głosami. Te głosy, według mnicha, miały pochodzić od uwięzionych dusz, którym bezpowrotnie została zabrana szansa na przebywanie tam, gdzie zgodnie z wierzeniami odchodzą, kończąc ziemską wędrówkę.

– Zaraz, zaraz – przerwałem profesorowi. – To znaczy, że *Melalo* pojawił się w moim śnie, by powiedzieć, że chce mnie do kolekcji? To ma problem – zaśmiałem się. – Jestem katolikiem i nie wierzę w żadne pogańskie zaświaty.

– No cóż... Problem w tym, że *Melalo* nie jest wybredny – dusza pozostaje duszą, bez względu na wyznanie. Cyganom nie pozwala odejść do krainy zmarłych, nazywanej *Mulrengo them*, ale dotyczy to również Raju w rozumieniu chrześcijańskim czy islamskim, albo indiańskiej Krainy Wiecznych Łowów. Nie

jest ważne, w co wierzył umysł człowieka, gdy jego dusza przebywała w ciele. Proszę pamiętać, że mnich był wyznania prawosławnego...

– I co się z nim stało?

– Kilka dni później znaleziono go w celi, w kałuży krwi sączącej się z poszarpanego ciała. Miał nieruchomy wzrok i wydawał z siebie odgłosy podobne do sroczego skrzeku, tym głośniejsze, im bliżej braciszkuwie próbowali do niego podejść. Stał się również agresywny, a od czasu, gdy rzucił się na jednego z braci, próbując roztrzaskać mu głowę o mur, przykuto go kajdanami do ściany w cerkiewnym lochu, gdzie spędził resztę życia, blisko dwadzieścia lat. Z jego ust wydobywał się jedynie skrzek – nigdy więcej nie wypowiedział żadnego słowa. Tak przynajmniej zapisano w cerkiewnych kronikach.

– Skrzeczał jak sroka? Dobrze sobie! – zaśmiałem się nerwowo.

– Widzę, że pana to bawi... Nic pan nie wie o *Melalo*, prawda?

– Już wiem, że po spotkaniu z nim można zacząć skrzeczeć. Jest coś jeszcze?

– Owszem. Na przykład to, że zanim zabierze duszę, nawiedza swoje ofiary w snach, ale tylko dwa razy. Przy drugim spotkaniu rozpościera skrzydła i wtedy następuje koniec. Wcześniej jednak może zmusić nieszczęśnika do odrażających czynów, z których świadomością nikt normalny nie zazna spokoju. On karmi się złem. Ale bywa, że nie jest głodny i tylko doprowadza do obłądzenia tak jak tego mnicha. W takim przypadku człowiek dotknięty jego skrzydłem spędza resztę życia co prawda nie w lochu, lecz na oddziale psychiatrycznym. A teraz podsumujmy: pan zdaje się, ma pierwsze spotkanie za sobą, a na jego rękę wyrosło pióro, widoczny znak *Melalo*. Żona leży pogrążona w śpiączce, zaś z domu w popłochu uciekają zwierzęta. Nie należy też zapomnieć o wronie, symbolu śmierci oraz postaci, która próbowała pana ostrzec. A teraz – spojrzał na mnie przenikliwie – czas na szybką decyzję: albo istotnie chce pan dowiedzieć się, o co w tym chodzi, albo zwyczajnie tracę czas.

– Przepraszam – wymamrotałem. – To wszystko jest takie... nierealne. Proszę mówić dalej.

– Dobrze – złagodził spojrzenie. – Zacznijmy od początku, czyli narodzin *Melalo*. Mają one iście baśniową oprawę. Oczywiście, jak pan zapewne wie, we wszystkich legendach występuje dobro i zło, a wierzenia Cyganów nie są wyjątkiem. W ich nadprzyrodzonym świecie dobro uosabiały wróżki *Keślai* mieszkające w zielonych, pełnych kwiatów górskich dolinach. Królowała tam piękność o włosach w kolorze słońca, mieniących się, jakby były obsypane milionami diamentowych drobin. Miała na imię Ana.

– Pani o Świetlistych Włosach – szepnąłem w zdumieniu.

– Bravo! A jednak coś pan wie! – Uśmiechnął się profesor. – Jak to zwykle bywa – kontynuował – przeciwwagą dla dobra i piękna jest zło i brzydota, uosobione przez demony *Lośoliko*. One też miały swojego Króla, potężnego władcę o odrażającym wyglądem, który pewnego dnia zobaczył Anę i oczarowany jej urokiem zakochał się bez pamięci.

– Demon zakochał się w dobroci? – zapytałem z powątpiewaniem.

– To tylko mit, a ponadto proszę spojrzeć szerzej: świat *Keśali* to domena kobiet, *Lośoliko* to pierwiastek czysto męski, więc skojarzenia nasuwają się same. Czyż my, mężczyźni, nie szukamy w kobietach łagod-

ności i dobra, które złagodziłoby naszą naturę? Ale, wracając do legendy: demon, na czele orszaku udał się do krainy wrózek, by prosić wybrankę o rękę. Ana jednak przeraziła się jego wyglądem i odmówiła. Król *Lośoliko* uznał to za zniewagę, więc krótko potem najechał górskie doliny, gdzie jego armia siała ogromne spustoszenie, pożerając niewinne wróżki. Królowa, by ratować pozostałe przy życiu, zgodziła się zostać żoną potwora, jednak małżeństwo nie mogło być skonsumowane, bo Król swoim wyglądem nieodmiennie wzbudzał w Anie wstręt. Nie potrafił zmusić jej do współżycia, do czasu, gdy pewnego dnia na spacerze spotkał złotą ropuchę. Żaba poradziła, by dał żonie do zjedzenia odpowiednio przyrządzony mózg sroki. Obiecała, że po tym posiłku Królowa zaśnie tak mocno, że nic nie będzie czuła. Demon skorzystał z rady: posiadał i zapłodnił *Anę* we śnie. Tak narodził się *Melalo*, demon o ptasim wyglądzie. To pan szaleństwa, a ponieważ sam powstał dzięki mózgowi głupiej sroki, jego ofiary tracą rozum, skrzecząc bezmyślnie.

– Jak ten mnich... – szepnąłem.

– Właśnie. Ale to nie wszystko. *Mealalo* obrócił się przeciw matce i swoimi czarami wielokrotnie usypiał dla ojca *Anę*, która rodziła kolejne potwory. Każdy z nich zsyła na ludzi inną chorobę. Na przykład siostra *Melalo*, *Lili*, ma postać kobiety z rybią głową, z której zwisa dziewięć włosów. Jeśli włókna wnika w ciało człowieka, zapada na gwałtowne przeziębienie. Jest też *Thulo*, wyglądający jak okrągła piłka z kolcami, który wchodzi w dolne partie ciała kobiet, a gdy się obraca, wywołuje silne bóle. *Theridzi*, czyli „płonąca”, to robak pokryty włosami, zsyłający gorączkę, z kolei *Silali*, biała mysz o niezliczonej ilości nóg jest odpowiedzialna za dreszcze.

– I to jest niby przyczyna chorób? – Z trudem powstrzymałem ironię w głosie, gdy nagle zaczęło mi się rozjaśniać. – Zaraz, zaraz... Podobno są choroby cygańskie i nie-cygańskie...

– Tak. Te pierwsze wywoływane są właśnie przez demony, drugie, to przypadki stricte biologiczne, które nie mają nic wspólnego z magią. Ale gama chorób cygańskich jest bardzo szeroka. Trzeba pamiętać, że potomstwo *Any* miało własne dzieci. *Mealalo* pojął za żonę *Lili*, z którą w spółdził mnóstwo innych, demonów, również dysponujących mocą chorób. I nie robił tego bezcelowo. On nienawidzi ludzi, gardzi nimi jako gatunkiem niedoskonałym, nieumiejącym opowiedzieć się jednoznacznie po stronie dobra lub zła. I chce chorobami zniszczyć tych, których kochała jego matka.

– Uroczy facet i jego miła rodzinka. – Tym razem nie darowałem sobie złościwości.

– Oh, to tylko niewielka próbka ich możliwości. Ulubionym bratem i kompanem *Mealalo* jest *Poreskero*, kreatura o czterech głowach psich i czterech kocich, oraz ogonie rozwidlonym niczym język węża, do tego hemafrodyta, który sam może się zapładniać. On i jego dzieci odpowiadają za epidemie, plagi, zarazy i śmiertelne choroby pasożytnicze. Legenda mówi, że *Ana* przerażona ilością demonów, które wydała na świat pragnęła stać się bezpłodną. Zapytała *Melalo*, co ma zrobić, aby już nigdy więcej nie mieć potomstwa, a on kazał jej zagrzebać się w kupie gnoju. *Ana* zrobiła to, lecz gdy stała zanurzona po szyję w ekskrementach, do jej dróg rodnych wśliznął się żuk – gnojarsz. Tak narodził się *Minćeskro*, wywołujący choroby krwi. *Anie* próbowały pomóc inne *Keśali*, nawet przygotowały dla niej specjalne ciastko z sierści psa, kota oraz sproszkowanego węża, mające położyć kres narodzinom kreatur, jednak po jego zjedzeniu i nocy spędzonej z mężem, na świecie pojawił się nie kto innego, tylko właśnie *Poreskero*, ulubiony brat *Melalo*. Te narodziny przeraziły już nie tylko *Anę*, ale i Króla, więc postanowił zwrócić żonie wolność, pod warunkiem, że każda *Keśali* odda się dobrowolnie *Lośoliko*, gdy ukończy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć lat. *Ana* zgodziła się i odeszła z i krainy demonów, ale nie wróciła do wrózek, tylko zamieszkała samotnie, na zamku, w wysokich górach i rzadko go opuszcza.

Profesor zamilkł i zapalił papierosa.

– Jeszcze odrobinę? – zapytał, wskazując puste szklanki.

Skinąłem głową.

– Jak odróżnić chorobę cygańską od nie-cygańskiej? – zapytałem.

– To potrafią tylko niektóre kobiety...

– *Ćowahani*?

– Dokładnie! – Spojrzał na mnie z uznaniem. – Prawdziwa *ćowahani* jest siódmą córką siódmej córki, co obdarza ją niezwykłą mocą. Stąpa po cienkiej linii odgraniczającej świat ludzi od świata duchów i demonów, jest żywym łącznikiem między nimi. Dlatego nie tylko umie leczyć choroby, ale ochrania ludzi przed demonami, odprawia rytuały magiczne przy narodzinach, ślubach i pogrzebach. Ale umie też działać w drugą stronę...

– Czyli przywoływać demony?

– Zgadza się.

– I te *ćowahani* nadal istnieją?

– Prawdziwe są niezmiernie rzadkie, ale wciąż można je spotkać. Częściej to zwykłe zielarki, choć i one posiadają wiedzę, którą nie można gardzić, bo znają wiele wywarów działających cuda... Czy pan zamierza...

– Tak. Muszę pomóc żonie.

Profesor upił łyk brandy i potarł otwartą dłonią policzek.

– Pan zdaje się nadal nie rozumie lub nie chce zrozumieć – powiedział powoli, patrząc mi w oczy.

– Czego? – zapytałem zdezorientowany.

– Uważa pan, że znajdzie jakąś cygańską zielarkę, a ona uleczy pańską żonę i wszystko będzie tak jak dawniej?

– Tak było z moją matką...

– Ale przypadek pańskiej żony jest inny... Czy nie widzi pan, że wpisuje się w krąg szerszych zdarzeń? Według mnie jest częścią jakiegoś konsekwentnie realizowanego planu, tylko że... coś poszło nie tak.

– Bo?

– Bo wciąż pan żyje. Podobno między jednym a drugim spotkaniem z Melalo upływa dwa do trzech dni, a tymczasem minęły tygodnie. Moim zdaniem, ma to jakiś związek ze snem małżonki...

Ten facet musiał być zdrowo stuknięty, a obłąd, o którym jeszcze tego ranka myślałem jak o dającej się

zwyciężyć przypadłości, niewiele bardziej skomplikowanej od kataru, dotknął i jego. Ale... Coś mi mówiło, wręcz przekonywało uparcie, że lepiej będzie, jeśli uwierzę w cygańskie demony przenikające do świata pełnego komputerów, telefonów, praw fizyki i dającej się zmierzyć materii. Ledwie dopuściłem taką myśl, natychmiast pojawiły się przerażające skojarzenia:

– *Ana*... – wykrztusiłem, walcząc z irracjonalnym lękiem, że słowa mogą mieć moc sprawczą, a tylko milczenie może wstrzymać bieg zdarzeń. – *Ana* spała, gdy Król... – wykrztusiłem wreszcie – Czy on... zanim ze mną się rozprawi, będzie chciał...

– Nie, raczej nie – odpowiedział z namysłem. – *Melalo* jest z jakiegoś powodu zainteresowany tylko panem, a raczej pańską duszą. Sen żony to nie jego sprawka, choć podobieństwo do *Any* zdaje się oczywiste. Nie, nie... to bardziej wygląda na ludzką magię, coś w rodzaju klątwy. Może... pańska babka?

– Maria?! Przecież ona nie żyje, a *Lisa* zachorowała już po jej śmierci. I co by jej z tego przyszło? Ponadto ona nie była żadną *ćowahani*.

– Cóż, magia często działa z opóźnieniem lub jej działanie może być celowo odroczone. Obawiam się również, że pan się myli – pańska babka była w pewnym stopniu *ćowahani*.

– Skąd pan może to wiedzieć?

– Ze sposobu, w jaki umarła. Dla Romów śmierć jest specyficznym wydarzeniem, stwarzającym zagrożenie dla tych, którzy zostają. Dusza zmarłego, zanim trafi do *Mulrengo them* przez rok błąka się wśród żyjących, ale wyposażona w moc, która pozwala na nich oddziaływać. Dlatego Cyganie przychodzą do umierającego i proszą go o wybaczenie nawet najbłahszych uchybień, by zapobiec nawiedzaniu przez po śmierci. Z chwilą zgonu, zaczyna się okres – jak wspomniałem – rocznej wędrówki duszy, która jednak w ciągu pierwszych trzech dni może zmienić zamiar i powrócić do ciała. By ją powitać, bliscy czuwają przy zmarłym, a na jego twarzy kładzie się białą chustkę z otworem na usta oraz nos, przez które dusza może ponownie wnikać do ciała.

– Ta chustka na twarzy Marii...

– Tak, to element cygańskiego rytuału pogrzebowego, ale jakby odwrócony. Ten, kto zabił pańską babkę, wiedział, że ma moc i zrobił wszystko, by nigdy już nie mogła jej użyć, a dusza *ćowahani* nie miała szansy powrotu do ciała. Dlatego je zniszczył.

– Kto i po co miałby to robić?

– Tego panu nie powiem, po prostu nie mam pojęcia. Ale jedno nie ulega wątpliwości – jeżeli *Melalo* do tej pory pana nie dopadł, to tylko dlatego, że nie wypełniło się coś, co jest związane ze snem żony. Inaczej mówiąc: jej śpiączka to pańska polisa ubezpieczeniowa.

Przez chwilę milczeliśmy obaj. Profesor zapalił papierosa, przypatrując mi się uważnie, jakby w oczekiwaniu na reakcję. Nie wiem, czego się spodziewał, ale cokolwiek miało to nie być, musiałem go rozczarować – nie będzie Hamletowskich dylematów: moje życie miało sens tylko z *Lisą*, bez niej, było bezproduktywnym marnowaniem oddechu i przestrzeni.

– Jak mam się dowiedzieć, dlaczego moja żona śpi? – zapytałem

Zmrużył oczy, skinął głową, jakby z aprobatą, a potem powiedział:

– Jestem tylko znawcą kultury, więc moja wiedza jest ograniczona. Musi pan pytać tych, którzy, proszę wybaczyć górnolotne słowa, stoją u jej źródeł.

– Gdzie mam ich szukać?

Nie odpowiedział. Sięgnął brudną ręką po stojącą na kartonowym pudle, obok małego ogniska, butelkę. Upił potężny łyk, a potem wcisnął flaszkę za połą wyświechtanego płaszcza.

– Czego? – warknął, mierząc mnie chytrym spojrzeniem spod strąków siwych włosów, przykrytych starą bejsbolówką. – Miałaś chętkę na mój trunek? Spadaj, pókim dobry.

W osłupieniu rozejrzałem się wokół. Byłem gdzieś, w okolicy elektrociepłowni. Po prawej stronie, w odległości około dwustu metrów widziałem wysokie, dymiące kominy, buchające w ciemne niebo kłębamii jasnej pary. Obok majaczyły jakieś krzaki. W pobliżu kręciło się kilka osób okutanych w łachmany: dwoje z nich ciągnęło rozklekotany wózek wypełniony żelastwem, ktoś inny dźwigał kraciastą, wypchaną torbę. Wszyscy kierowali się do otwartego wjazdu ciepłowniczego.

– Jesteście... Cyganami? – zapytałem.

– Cyganami?! He, he... Dobrze sobie! – Mój rozmówca zaśmiał się, ukazując szczyrby, a potem zaniósł kaszlem. – Nie półgłupku – wycharczał – tylko bezdomnymi żebrakami, takimi jak ty...

Spojrzałem na swoje ręce: były zniszczone, naznaczone zabliznionymi i całkiem świeżymi ranami, a pod połamanymi paznokciami zebrały się czarne obwódki. Przeniosłem wzrok na stopy, okutane folią związaną sznurkiem, nałożoną na rozpadające się buty. Dotknąłem lepkiej od brudu kurtki, pomacałem wełnianą czapkę.

A potem doskoczyłem do faceta, chwytając go za gardło. Ścisnąłem mocno, choć wierzgał i wił się jak robak, do czasu, gdy jego oczy znieruchomiały, wpatrzone w wiosenną noc. Położyłem trupa na ziemi, obok przygasającego ogniska. Rozchyliłem jego płaszcz, wyjąłem butelkę niedopitej brandy. Głośnymi łykami wykończyłem jej zawartość, zaś pustą flaszkę cisnąłem w stronę krzaków. Odchodząc w mrok, nie miałem żadnych myśli.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Figiel, dodano 23.07.2015 15:43

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.